

BEATLES!

LARS SAABYE CHRISTENSEN

PRZEŁOŻYŁA IWONA ZIMNICKA

MARGINESY

Beatles

COPYRIGHT © Lars Saabye Christensen and Grif, 2020

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Iwona Zimnicka

COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,
Warszawa 2026

CZĘŚĆ I

I Feel Fine

wiosna 1965

Siedzę w letnim domu, jest jesień. Prawa ręka mnie irytuje, te szwy w poprzek i wzdłuż, a zwłaszcza palec wskazujący. Haczykowaty i zakrzywiony jak szpon. Cały czas muszę na niego patrzeć. Wczepia się w piszący na czerwono długopis. To wyjątkowo brzydki palec. Szkoda, że nie jestem mańkutem, kiedyś bardzo tego chciałem – być mańkutem i grać na gitarze basowej. Ale potrafię lewą ręką pisać pismem lustrzanym, jak Leonardo da Vinci. Mimo wszystko piszę prawą, ignorując okaleczoną rękę i ten odrażający palec. Pachnie tu jabłkami, ich silny aromat bije od starego stołu, przy którym siedzę na środku ciemnego pokoju. To mój pierwszy wieczór tutaj, a okiennice zdjąłem tylko z jednego okna. Na parapecie leży mnóstwo martwych owadów, much, komarów, os, z suchymi, cienkimi nóżkami. Zapach owoców rozmięcza mi głowę, moja gładka czaszka coś we mnie wyzwała, cienie tańczą pod ścianami w świetle księżyca, które wpada przez jedyne okno i przemienia pokój w staroświecką dioramę. I tak jak ojciec Oli, golarz z Solli plass, który w każde urodziny źle zakładał film w projektorze, przez co oglądaliśmy trzy filmy z Chaplinem od tyłu, tak teraz ja odwracam się i wyruszam wstecz. Wcale się nad tym nie zastanawiam, szpula za moimi oczami zatrzymuje się nagle na jednym konkretnym obrazie, chwytam go na kilka sekund, zamrażam, a potem wprawiam w ruch, bo jestem wszechmogący. Przydaję mu głosów, dźwięków, zapachów i światła. Wyraźnie słyszę chrzest żwiru pod butami, kiedy przemykamy się przez Vestkanttorget, lekko kręci mi się w głowie po zaciągnięciu się dymem aż do brzucha i ciągle jeszcze czuję łokieć Ringa, który miękko szturcha mnie w bok; wszyscy czterej zatrzymujemy się w rządku, a John wskazuje na czarnego, wypolerowanego do połysku Mercedesa, który stoi zaparkowany przed sklepem zoologicznym Naranja.

To George odezwał się pierwszy:

– Jest twój, Paul!

Wszyscy wiedzieli, że jestem specjalistą od Mercedesów. Nie potrzebowałem nawet narzędzi. Wystarczyło obrócić okrągłą nasadkę trzy razy w lewo, gwałtownie puścić i wyciągnąć, bo mocowanie już dawno nie trzymało. Pognaliśmy w górę skarpy po schodach, pod swetrem czułem gorące łaskotanie. Oceniliśmy sytuację.

– Za dużo ludzi – szepnął John.

Zgodziliśmy się z nim. Pod jabłoniami na rogu stało dwóch mężczyzn, a niedaleko przez ulicę przechodziła starsza pani.

– Nie ma sensu ry-ry-ryzykować – wymamrotał Ringo.

– Już mamy jednego Opla i dwa Fordy – przypomniał George.

– Ale to przecież 220 S! – powiedziałem.

– Załatwimy go kiedy indziej – stwierdził John.

Nie było jednak pewności, że Mercedes będzie tam stał nazajutrz. Poczułem nagle w sobie to ssanie, ten zasysający wir, który później pojawiał się tak często, i przestałem słuchać chłopaków. Spokojnie przeszedłem na drugą stronę ulicy, sam, nachyliłem się nad maską, serce wciąż biło mi powolnymi, obojętnymi uderzeniami, od strony szkoły Berlego schodziła jakaś para, tamci dwaj faceci pod kwiatami jabłoni zerkali na mnie, papugi na wystawie niemo krzyczały. Trzy razy okręciłem poroże Mercedesa, gwałtownie puściłem, pociągnąłem i schowałem je pod sweter. John, George i Ringo byli już daleko, mieli odejść swobodnie, ale od tyłu wyglądali jak trzy latarnie z czerwonymi żarówkami. John odwrócił się, zamachał do mnie wściekły, odmachąłem mu z uśmiechem, wtedy puścili się biegiem w stronę Uranienborg. Ja wciąż stałem na miejscu przestępstwa, rozglądałem się, ale nikt nie zareagował. Ruszyłem za nimi, powoli, jakby po to, żeby wszystko przeciągnąć, żeby naprawdę poczuć, jak to jest dać właścicielowi auta szansę na złapanie mnie. Cudowne nerwowe ciepło rozlało mi się po ciele. I nikt za mną nie szedł. Wyciągnąłem łup na wierzch, uniosłem go triumfalnie i pobiegłem za resztą.

Czekali przy Facecie na Schodach, wszyscy trzymali w rękach torebki mrożonego soku.

– Wa-wa-wariat jesteś – stwierdził Ringo.

– Cholera, a jak któregoś dnia nas złapią? – mruknął John.

Spojrzał na mnie bez uśmiechu. Sprawiał wrażenie trochę zdenerwowanego, wręcz nieszczęśliwego, kiedy tak siedział z tą torebką mrożonego soku, machając papierosem.

Dochodziła dziewiąta. Ściemniło się, a my tego nie zauważyliśmy. Facet na Schodach pogasił światła w swoim sklepiu, powlekliśmy się więc w dół Bondebakken. Oddałem znaczek Mercedesa George'owi, to on je przechowywał w skrzynce pod łóżkiem, zasłonięte tygodnikami.

– Teraz mamy już sześć takich – oznajmił.

– Ale żadnego z 220 S!

– Nie widzę żadnej ró-ró-różnicy – stwierdził Ringo.

– Nie ma znaczenia, czy widzisz. Chodzi o to, że wiesz – powiedziałem.

– A ile mamy Fiatów? – spytał John.

– Dziewięć – odparł George. – Dziewięć fiutów.

– Brachol przywiózł pornosa z Kopenhagi – przypomniało się Johnowi.

Stanęliśmy jak wryci.

– Z Danii? – szepnął Ringo, zapominając o jękanii.

– Grał mecz w ręczną w Kopenhadze. Cholera.

– No i jaki... Jaki jest...

– Fajny – odparł John. – Muszę lecieć.

– Przynieś jutro – poprosił George.

– Przynieś! – zawołał Ringo, wymachując w powietrzu śrubokrętem. – Przynieś!

Poszedłem z Johnem. Zmierzaliśmy w tę samą stronę, w dół Løvenskiolds gate, George i Ringo posunęli w kierunku Solli plass. Nie odzywaliśmy się do siebie. Piach wysypany zimą chrzęścił pod butami, na chodniku leżały w rzędzie zaschnięte psie gówna. To były pewne oznaki nadchodzącej wiosny, chociaż ciągle jeszcze było dość chłodno i ciemno, zaledwie połowa kwietnia. Spojrzałem na swoje buty i poczułem radość, bo mama obiecała, że w maju dostanę nowe, a te, które miałem teraz, przypominały raczej pionierki i były ciężkie jak ołów. Buty Johna też nie zachwycały, on wszystko, w czym chodził, dostawał w spadku po swoim bracie, Stigu, który był o dwa lata starszy i miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, dlatego buty Johna były zawsze takie wielkie, że musiał najpierw zrobić krok w nich w środku, żeby ruszyć dalej.

– Wydaje mi się, że zaczynamy mieć dosyć tych znaczków – powiedział John, nie patrząc na mnie.

– Może powinniśmy zbierać tylko te różnych marek – zaproponowałem.

– Mamy już dosyć – powtórzył.

– Możemy sprzedać te, które się powtarzają.

John gwałtownie przystanął i mocno złapał mnie za ramię.

– Patrz tutaj! – krzyknął, wskazując na chodnik.

Zdrętwiałem. Przed nami leżał sznurek. Sznurek. Białý sznurek na ziemi tuż przed nami.

– Granaciarz* – szepnął John.

Nie odpowiedziałem, tylko dalej się gapiłem.

– Granaciarz – powtórzył John, cofając się o krok.

Stałem o metr, może nawet mniej, od sznurka. Jeden jego koniec zniknął w żywopłocie, drugi był przywiązany do kratki ściekowej w rynsztoku.

– Nie ma pewności, że to Granaciarz – powiedziałem cicho.

– Co robimy? – wydusił z siebie John za moimi plecami. – Dzwonimy po gliny?

– To wcale nie musi być Granaciarz, chociaż to rzeczywiście dziwny sznurek – ciągnąłem, głównie do siebie.

– Tamci dwaj chłopcy z Grefsen zadzwonili po gliny – syknął John. – Możemy wylecieć w powietrze!

Nagle jakbym zaczął się roztopiać. Roztopiłem się i już mnie nie było. Zrobiłem krok do przodu, nachyliłem się, usłyszałem za plecami wrzask Johna i pociągnąłem z całej siły.

Huknęło jak cholera, ale dlatego, że do drugiego końca sznurka przymocowano sześć metalowych puszek. John już dawno był na chodniku po drugiej stronie, okopał się za latarnią. Pokazałem mu łup, wynurzył się z okopu. W tej samej chwili zza żywopłotu buchnął śmiech. John, pobiegały na twarzy, z zaciśniętymi szczękami, jednym skokiem pokonał żywopłot i wyciągnął na światło dzienne dwóch gnojkwów. Ustawił ich przy jakimś Oplu, przeprowadził rewizję osobistą, a potem, wskazując na mnie i na sznurek, powiedział:

* W okresie od lutego do kwietnia 1965 roku w Oslo kilkakrotnie dochodziło do wybuchu granatu w wyniku uruchomienia zastawionej pułapki. Sprawcy tych zdarzeń nigdy nie wykryto (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

– Wiecie, ile lat można dostać za coś takiego?

Szczeniaki pokręciły głowami.

– Pięć! – zawołał John. – Pięć lat! Poślą was do Jæren, pewnie nawet nie wiecie, gdzie to jest, ale to cholernie daleko, a tam każą wam przetaczać głazy! Przez pięć lat. Zrozumiano?

Smarkacze pokręciły głowami.

John związał ich sznurkiem i pognął w dół ulicy. Uciekali jak szaleńcy, a ludzie podchodzili do okien, myśląc, że to jakieś wesele. Brzęk puszek słyszeliśmy jeszcze z odległości kilku kwartałów.

– Dlaczego oni tego nie zdejmą? – John podrapał się w ucho.

– Pewnie uważają, że tak jest fajnie.

– Pewnie tak.

Powlekliśmy się dalej.

Po jakimś czasie John powiedział:

– Jesteś naprawdę szalony. Mogłeś wylecieć w powietrze!

– Jakie zdjęcia są w tym piśmie, które przywiózł twój brachol?

– Wielkie cipy. Dwa razy większe niż w „Cocktailu” i...

Gwałtownie urwał. Nie miałem siły się dopytywać, więc tylko czekałem, aż John sam powie resztę.

– No i nie ma na nich włosów – wyrzucił z siebie.

– Nie ma włosów?

– Nie ma. Zgolone.

– Tak można?

– Na to wychodzi.

– Ojciec Ringa jest golarzem – przypomniałem.

– Wszystko widać – dodał John.

– Wszystko?

– No.

Rozstaliśmy się przy Kinie Gimle. John skręcił w stronę Thomas Heftyes gate, ja poszedłem dalej, na Skillebekk. Nie mogłem pozbyć się z myśli tych łysych cipek. Usiłowałem je sobie wyobrazić, ale po prostu nie umiałem. Najbliższe temu obrazowi wydawało mi się zdjęcie nagiej kobiety w encyklopedii, chociaż tamto zdjęcie zostało chyba przerobione, w każdym razie cipka na nim była gładką płaszczyzną bez jednego włoska, no i bez żadnej szpary; pewnie prawdziwej kobiety nie mogli pokazać w encyklopedii.

Kiedy skręciłem w Svoldergata, zaczęło padać, taki ciepły, delikatny deszcz, na którym prawie się nie moknie i którego nie widać. Miałem wrażenie, jakby w twarz uderzało mnie mnóstwo włosków, małych, krótkich, ciemnych włosków, a na całej ulicy unosił się dziwny zapach, mniej więcej taki jak w łazience z prysznicami przy sali gimnastycznej, i nigdzie nie było widać żywej duszy. Na ostatnim odcinku puściłem się biegiem, bo już i tak byłem trzy kwadranse spóźniony.

Ale przy skrzynkach na listy gwałtownie zahamowałem. Leżała na nich brązowa koperta. Obok listonosz zostawił kartkę z pytaniem. Na naszej klatce schodowej nie mieszkał nikt, kto by się nazywał Nordahl Rolfsen. Czy ktoś mógłby mu pomóc? Ja mogłem. List był do mnie. Wsunąłem kopertę pod koszulę, na palcach wszedłem na górę i przekradłem się do swojego pokoju. Tam ostrożnie otworzyłem list, cały czas nadstawiając uszu, czy nikt nie nadciąga. W ogłoszeniu w tygodniku „Nå” napisali prawdę. Staranne, dyskretne opakowanie. Tuzin Rubinów Extra, różowych. Jedenaście koron. Ale nie musiałem za nie płacić. Nikt nie wiedział, kim jest Nordahl Rolfsen. Sprytnie. Nie miałem odwagi otworzyć gładkiej paczuszki, tylko trzymałem ją w dłoni, słuchając deszczu, który padał za oknem, jego włosów szeleszczących po szybie. W końcu schowałem wszystko do trzeciej szuflady, pod „Pop Extra”, czasopisma o Beatlesach i książkę z serii *Conquest*.

Był czwartek, na pewno, bo na następny dzień mieliśmy zadane wypracowanie, ostatnie przed egzaminem, a wypracowania zawsze oddawało się w piątki, żeby nasz wychowawca, Beret, miał jakąś rozrywkę na weekend. Nie napisałem jeszcze ani słowa. Mój wcześniejszy plan polegał bowiem na tym, żeby zacząć kaszleć już dziś wieczorem, przeciągłym, szczekliwym, rozpaczliwym kaszlem, który nie pozwoli rodzicom zasnąć jeszcze długo po północy. A następnego dnia rano wystarczy tylko rozgrzać czoło o poduszkę, mama od razu stwierdzi trzydzieści dziewięć i pięć i nie puści mnie do szkoły. Ale nie chciałem być ostatnim, który obejrzy pornosa brata Gunnara. Postanowiłem napisać wypracowanie, kiedy rodzice pójdą już spać. Mama stanęła w drzwiach z moją kolacją i szklanką mleka.

– Mogłeś po powrocie do domu przynajmniej do nas zajrzeć – powiedziała.

Wziąłem od niej talerzyk i szklankę.

- Siedzimy w salonie. To nie tak daleko – dodała.
- Wiem.
- Gdzie byłeś?
- Na szkolnym podwórzu.
- Tak późno?
- Graliśmy w dwa ognie.

Zrobiła krok do przodu i już wiedziałem, że sprawa się przeciągnie. Wiedziałem też dokładnie, co mama powie i jak sam powinienem odpowiadać.

– Naprawdę musisz wieszać na ścianach wszystkie te paskudne zdjęcia?

– Ja uważam, że są ładne.

– Ładne! – Mama prawie krzyknęła, wskazując na plakat tuż pod sufitem.

– To Animalsi – wyjaśniłem.

Znów spojrzała na mnie.

– Musisz się ostrzec – stwierdziła. – Niedługo włosy zaczną ci spadać na uszy.

Pomyślałem o ojcu, który był prawie łysy, i zaczerwieniłem się, bo przed oczami nagle stanęła mi straszna postać, potworna głowa, jakiś szalony mieszaniec. Mama podeszła bliżej i spytała, co mi jest.

– Co mi jest? – powtórzyłem zachrypniętym głosem.

– Tak. Nagle zrobiłeś się taki dziwny.

Rozmowa przybrała zdecydowanie nieoczekiwany i niebezpieczny obrót. Zacząłem demonstracyjnie jeść, ale mama dalej stała, oparta o futrynę.

– Spędziłeś dzisiejszy wieczór z jakąś dziewczynką? – spytała.

To pytanie było tak głupie, nie na miejscu, idiotyczne, wyciągnięte z kapelusza, że zamiast ją wyśmiać, rozzłościłem się:

– Byłem z Gunnarem! Z Sebastianem i z Olą!

Pogłaskała mnie po głowie.

– Mimo wszystko uważam, że powinieneś się ostrzec.

Mimo wszystko? O co jej chodzi? Jaką pułapkę tym razem na mnie zastawiła? Zmobilizowałem resztkę sił i wysunąłem argument, który zawsze do pewnego stopnia działał na mamę, bo kiedyś chciała zostać aktorką.

– Rudolf Nuriejew też ma długie włosy!

Wolno skinęła głową, na jej twarzy rozlał się uśmiech, a potem, o Boże, drugi raz położyła mi rękę na głowie.

– Możesz ją przyprowadzić do domu.

Byłem pewien, że jestem najczerwieńszą bladą twarzą na całym Zachodzie, z wyjątkiem Jenseniusa, śpiewaka operowego, który mieszkał piętro wyżej, wypijał dziennie trzydzieści mocnych piw Eksportowych i powtarzał, że świat pozostaje w ruchu dzięki zastawowi za butelki i sztuce.

Ojciec jak zwykle siedział w fotelu przy półce z książkami, nad tygodnikiem „Nå” ze zdjęciem piosenkarki Wenche Myhre na okładce. Intensywnie pracował nad krzyżówką. Podniósł wąską, bladą twarz i spojrzał na mnie.

– Odrobiłeś lekcje?

– Tak.

– Jak jesteś przygotowany do egzaminu?

– Dobrze. Tak mi się wydaje.

– Tobie się nic nie może wydawać. Musisz wiedzieć.

– Jestem dobrze przygotowany.

– Cieszysz się, że idziesz do szkoły realnej*?

Kiwnąłem głową.

Ojciec uśmiechnął się przelotnie i znów zatonął w krzyżówce. Powiedziałem „dobranoc”, ale kiedy się odwróciłem, usłyszałem jego głos:

– Jak się nazywa perkusista z The Beatles?

Wyglądał bardzo dziwnie, kiedy pytał, i mam wrażenie, że nawet trochę się zarumienił. Dla usprawiedliwienia od razu wskazał na tygodnik.

– Oła – zacząłem, ale ugryzłem się w język. – Ringo. Ringo Starr. Chociaż jego prawdziwe nazwisko to Richard Starkey – błysnąłem.

Ojciec z zapalem wpisał litery w kratki, pokiwał głową i powiedział:

– Świetnie. Pasuje.

Leżałem i czekałem, aż się położą. Gdybym teraz zapalił światło, przysliby zapytać, co się stało, bo przez szparę widać było, czy u mnie się

* Szkoła realna – w latach 1935–1969 trzyletnia szkoła ponadpodstawowa; po dwóch latach można było kontynuować naukę w liceum.

świeci. Słyszałem deszcz padający na zewnątrz, słyszałem pociągi, które z głośnym sapaniem przejeżdżały w odległości zaledwie stu metrów ode mnie, między moim pokojem a zatoką Frognerkilen. Wiedziałem dokładnie, dokąd jadą, ale też i nie było zbyt wielu linii do wyboru. I chociaż te pociągi wcale nie jechały daleko i nie przekraczały granic Norwegii, to jednak zawsze przywodziły mi na myśl dalekie kraje, zrolowane na drążkach zawieszonych za katedrą. Słyszając pociągi, myślałem również o gwiazdach, o kosmosie, wszystko wtedy oddalało się od moich oczu, zaczynałem opadać do tyłu, jakby w głąb siebie, a jeśli wtedy krzyczałem, przybiegali rodzice, pojawiali się w postaci maleńkich kropek, daleko, bardzo daleko, i powoli wyciągali mnie z powrotem na powierzchnię. Ale tym razem nie krzyczałem. Słyszałem pociągi i tramwaj nazywany Złotą Rybką, z jazgotem przejeżdżający przez Olaf Bulls plass. A wśród tego wszystkiego były jeszcze ściszone głosy rodziców i radio, zawsze włączone, a w radiu zawsze opera, brzmiąca tak samotnie i smutno, smutniej niż wszystko, co znałem, śpiew z innego świata, szarego, pogrążonego w bezruchu, taki zimny i martwy. Na ścianach wokół mnie wisiały zdjęcia twarzy, które również śpiewały, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk, gitary i bębny milczały. Rolling Stonesi, Animalsi, Dave Clark Five, Hollies, Beatlesi. Zdjęcia Beatlesów. Śnili mi się Ringo, John, George i Paul. Śniło mi się, że jestem jednym z nich, że jestem Paulem McCartneyem, mam jego okrągłe, smutne oczy, na których widok wszystkie dziewczyny piszczą do nieprzytomności, śniło mi się, że jestem leworęczny i że gram na gitarze basowej. Nagle poderwałem się z łóżka, całkowicie przytomny. Przecież jestem jednym z nich, pomyślałem i głośno się roześmiałem. Jestem jednym z The Beatles.

Było wpół do dwunastej, rodzice poszli już spać. Wziąłem się do dzieła. Miałem wybór z trzech tematów. Pierwszy od razu wykluczyłem. „Moja rodzina”. Ojciec jest bankowcem i rozwiązuje krzyżówki. Mama w młodości chciała zostać aktorką. Mam na imię Kim. To się po prostu nie dało. Kolejny temat brzmiał: „Jeden dzień w szkole”. Również go wykluczyłem. Nawet kłamstwo ma swoje granice, ma je nawet dla mnie. Można łąć do pewnego punktu, w dodatku całkiem nieźle, ale później po prostu wszystko staje się idiotyczne. Pozostał mi ostatni temat: „Twoje plany po skończeniu szkoły podstawowej”. Zeszyt do wypracowań znalazłem w stosie paczek ze starymi

drugimi śniadaniami. Z poprzedniego wypracowania dostałem tróję. Ale to ojciec je napisał. „Moje hobby”. Uznał, że oczywiście muszę pisać o znaczkach pocztowych, chociaż miałem jedynie dwa trójkątne z Wybrzeża Kości Słoniowej. Ojciec dostał tróję. Postanowiłem więc zaryzykować. Włożyłem świeży nabój do pióra i zacząłem pisać od razu atramentem. Nie było odwrotu. Czułem łaskotanie w krzyżu, napięcie czyniło ze mnie niemal geniusza. Najpierw zamierzałem skończyć szkołę realną i liceum. Później planowałem studiować medycynę i zostać lekarzem w jakimś ubogim kraju, gdzie miałem żyć i umrzeć dla chorych Murzynów. Wydusiłem z siebie trzy i pół strony i skończyłem jakąś uwagę o Nansenie, ale biegun północny nie bardzo mi się zgodził z Murzynami, i dopiero wtedy sobie przypomniałem, że należało napisać o Albercie Schweitzerze, ale było już za późno. Zamknąłem zeszyt bez przeczytania tego, co napisałem, a czas musiał płynąć niesamowicie szybko, bo z hukiem przejechał ostatni pociąg do Drammen i cały świat ucichł. Deszcz przestał padać. Tramwaje przestały jeździć. Rodzice spali. I sam też już zasypiałem, gdy nagle pokój wypełnił czysty falset, płynął z góry, ale to nie był Bóg, tylko Jensenius, który rozpoczął swoją nocną wędrówkę, oszalały nocny słowik chodził tam i z powrotem, śpiewając stare pieśni z czasów swojej wielkiej światowej sławy.

Z Jenseniusiem koncertującym nad głową zaśnięcie stało się niemożliwe, chociaż jego śpiew nie był wcale aż tak smutny jak tamte głosy w radiu. Słuchanie Jenseniusa raczej trochę przerażało, a gdy dodatkowo widziało się śpiewaka, stawało się niemal wyłącznie komiczne. Jensenius był kolosem, bardzo podobnym do tego faceta ze zdjęcia na opakowaniu IFA, słonych pastylek na gardło, zresztą również śpiewaka operowego. Nagle coś mi się przypomniało. W piątej klasie wyciąłem podpis tego faceta z pudełka pastylek, Ivara Frithjofa Andresena, i wmówiłem Gunnarowi, że to cenny autograf światowej sławy śpiewaka. Gunnar odkupił go ode mnie za dwie korony, bo zbierał autografy, wszystkich, od rajdowca Arnego Ingiera po towarzysza Lin Piao. Zastanawiał się tylko, dlaczego ten autograf jest na takim grubym papierze. To nie papier, powiedziałem, to k a r t o n. Najlepszy, jaki może być. A dlaczego taki cholernie mały? Bo wycięty z sekretnej listy. Trzy dni później Gunnar przyszedł do mnie, spytał, czy mam ochotę na sło-

ne pastylki, wyjął pudełko IFA i wcisnął mi je w gębę. Nie był nawet wściekły. Po prostu zaskoczony. Oddałem mu pieniądze i od tej pory nie robiliśmy już ze sobą żadnych interesów.

No więc Jensenius, śpiewak operowy z naszej klatki schodowej, przypominał zeppelina, a z tego kolosalnego pojazdu wydobywał się głos tak wysoki i cienki, jakby w środku siedziała mała dziewczynka i właśnie ona śpiewała. O Jenseniusie krąży wiele historii, nie bardzo wiem, w które mam wierzyć, ale podobno dawał cukierki małym dziewczynkom, chłopcom też, i lubił ich przytulać. Kiedyś był, zdaje się, barytonem, lecz pomajstrowali mu przy podwoziu i teraz jest sopranem. Chła jak niedźwiedź i śpiewa jak anioł. Mam ochotę nazywać go Wielorybem, bo wieloryby również śpiewają, a śpiewają, ponieważ są samotne i morze jest dla nich za wielkie.

Zasypiam, pierwszego dnia.

Wypracowania oddaliśmy na pierwszej lekcji, po odmówieniu *Ojciec nasz*. Modlitwę miał prowadzić Smok, ale on nigdy nie potrafił dojść dalej niż do „święć się imię Twoje”, zawsze wtedy tracił mowę, czerwienił się i zaciskał ręce, aż mu białły kostki, tym razem też musiał go zastąpić Gąsior, jemu poszło gładko jak po maśle, a my, cała reszta, staliśmy przy ławkach wyprężeni jak struny i mamrotaliśmy ile wlezie. Dyżurnym w tym tygodniu był Seb. Krążąc między rzędami, zebrał nasze zeszyty, po czym ułożył je w równiutkim stosie na katedrze przed Beretem, który ze zdumieniem patrzył na klasę.

– Wszyscy oddali? – spytał cicho.

Seb kiwnął głową i wrócił na swoje miejsce. Siedział na samym końcu w rzędzie pod oknem, ja za Gunnarem w środkowym, a Ola z przodu przy drzwiach, zawsze pierwszy wychodził i ostatni wchodził. Moje miejsce było zresztą bardzo dobre, bo Gunnar miał plecy dostatecznie szerokie, żeby ukryć za nimi całą encyklopedię. Odwrócił się do mnie i spytał szeptem:

- Na który temat pisałeś?
- Plany na przyszłość.
- A kim zostaniesz?
- Lekarzem w Afryce.
- Seb będzie misjonarzem. W Indiach.
- A ty co pisałeś?

– Będę pilotem. A Ola fryzjerem damskim.

– Przyniosłeś to pismo?

Gunnar pospiesznie kiwnął głową i usiadł prosto.

Beret wciąż spoglądał na klasę, jakbyśmy byli nowym krajobrazem, który roztoczył się przed nim w całej okazałości, a nie siódmą A, dwudziestoma dwoma żółtodziobami z tłustymi włosami, pryszczami i rękami w kieszeniach.

– W s z y s c y oddali? – powtórzył.

Żadnej reakcji.

– K t o n i e oddał? – zmienił pytanie.

Cisza w klasie. Zasiany mak. Jedynie tramwaj na Briskeby przejechał ze zgrzytem gdzieś głęboko na dnie świata, bo jako najstarsi mieliśmy lekcje na ostatnim piętrze.

Beret wstał i zaczął się przechadzać tam i z powrotem po podwyższeniu. Za każdym razem, gdy dochodził do katedry, poklepywał nasze zeszyty i coraz szerzej się uśmiechał.

– U c z y c i e s i ę – powiedział. – U c z y c i e s i ę, a moja praca może wcale nie poszła na marne. Wkrótce na własnej skórze doświadczycie, że t e r m i n o w o ść to jeden z kamieni węgielnych świata dorosłych. W szkole realnej staniecie w obliczu innych, o wiele surowszych wymagań, zwłaszcza ci, którzy celują ku liceum i uniwersytetowi. Wkrótce to zrozumiecie, a najlepiej, gdybyście zrozumieli już teraz. Ale może ten piękny stos zeszytów świadczy o tym, że j u ż zrozumieliście, jeśli nie wszystko, to przynajmniej sporo.

Siedziałem w środkowym rzędzie, za bezpiecznymi plecami Gunnara. Beret przemierzał swoją scenę, przemawiając ciepłym, drżącym głosem. Nikt go nie słuchał, ale wszyscy się cieszyli, bo przynajmniej nie musieliśmy analizować budowy zdań złożonych ani czytać *Terjega Vigena* Ibsena. Po pewnym czasie umilkł też jego głos – to taka moja sztuczka, potrafię w pewnym sensie wyłączyć dźwięk, niekiedy bywa to bardzo przyjemne. Nauczyciel zmienił się w postać z niemego filmu, wykonywał gwałtowne i wyraziste ruchy, a jego usta pracowały z przesadną starannością, żeby tępa publiczność na sali mogła się domyślić, co mu leży na sercu. A od czasu do czasu na tablicy pojawiała się wyjaśnienie w formie pisemnej: „Kiedy pójdziecie w wielki świat, bądźcie gotowi. – Walczcie za ojczyznę i za język norweski. – Ćwiczenie czyni mistrza. – Nadstawiaj lewy policzek i zawsze najpierw pytaj. – Bjørn-

stjerne Bjørnson”. Tuż przed dzwonkiem zrozumiałem, że Beret się cieszy. Cieszył się, ponieważ ten jeden jedyny raz, ten ostatni, oddaliśmy wypracowania na czas. Beret się cieszył i nas kochał. Właśnie wtedy rozległ się dzwonek i wszyscy rzucili się do drzwi, chociaż Beret był w połowie zdania, i gdy go teraz widzę, mam przed oczami niedużą, szarą postać w za dużym przekrzywionym fartuchu, rzadkie włosy opadły mu na czoło, a twarz błyszczy z wysiłku i ze szczęścia. Wciąż stoi w tym samym miejscu i niemo przemawia do dwudziestu dwóch szalonych chłopaków, którzy wybiegają z klasy jak konie wypuszczone na łąkę, on zaś ciągle tkwi we własnym świetle, równie samotny, jak samotny musi być Jensenius, ale szczęśliwy, bo nareszcie wyzbył się goryczy, więc jest szczery, pełen życzliwości i ciepła dla nas.

Ale tak to wygląda teraz. Wtedy niemy film na dźwięk dzwonka gwałtownie się urwał. Beret natychmiast zniknął, jakby w wyniku zakłóceń technicznych, a ja przyczepiłem się do Gunnara. Kurs wiódł prosto do kibla, w którym w końcu zebrało się jakichś dziesięciu, piętnastu chłopaków. Ktoś więc wyraźnie nie utrzymał języka za zębami, najpewniej Ola, bo Ola miał najsłabszą twarz pokerzysty na świetle, wszystkie mięśnie twarzy zaczynały mu drgać, kiedy tylko dostał parę trójek.

– Gdzie to masz?! – dopominał się Smok.

– To nie cyrk – odpowiedział Gunnar.

– Oszukujesz – stwierdził Smok. – Wcale nie przyniosłeś!

Gunnar tylko na niego patrzył, długo, aż gruby, spocony Smok się zaniepokoił i zaczął przestępować z nogi na nogę.

– Kiedy kogoś oszukałem? – spytał Gunnar.

Przypomniała mi się tamta historia z pastylkami IFA, więc odwróciłem głowę, bo wszyscy wiedzieli, że Gunnar nigdy nikogo nie oszukał, a Smok, zawstydzony, czerwony i zasapany, został powoli, acz stanowczo wypchnięty z kręgu.

Gunnar przez chwilę się w nas wpatrywał. W końcu spod swetra i koszuli wyjął dużą białą kopertę. Krąg wokół niego jeszcze bardziej się zacieśnił, kiedy otworzył kopertę i wyciągnął pismo. Potem nagle, jakby mu się już dłużej nie chciało, wręczył mi je, bez jednego słowa. Wszedł do kabiny i zamknął za sobą drzwi.

Teraz to ja stałem się centrum tego kręgu. Wszyscy mnie pospieszali, trącali, popychali, bo przerwa niedługo się kończyła. Zacząłem

przerzucać kartki. Natychmiast wychwyciłem niepokój, sam go odczułem, bo wcale nie chciałem oglądać takich rzeczy. Na pierwszych zdjęciach były zbliżenia ogolonych cipek. Zgromadzeni nie wydawali z siebie żadnego dźwięku, nikt się nie śmiał, nikt nie chichotał, było cicho jak w grobie. Przerzucałem kartki coraz szybciej, cipki od góry i od dołu, całe strony wielkich szpar po przekątnej, od rogu do rogu. Wreszcie pod koniec zaczęło to być do czegoś podobne, pojawiły się całe babki, wielkie cycki, mnóstwo włosów, i nagle zobaczyliśmy zdjęcie faceta wciskającego głowę między uda kobiety.

– Co on robi? – spytał jakiś głos.

– Liże – odpowiedział inny głos, to był Gunnar. Wyszedł już z kabiny i chichotał.

Na chwilę zapadła cisza, zupełna cisza.

– Liże?

– Liże cipkę tej babki, chyba widzisz – włączył się jeszcze ktoś.

– Liże... cipkę!

Smok stał na samym skraju i przewracał oczami.

– No.

– No i jak... jak... jak to smakuje, co?

– Jak trawa – powiedziałem natychmiast. – Jeśli się ma szczęście. Ale jeśli dostaniesz skwaśniałą, to smakuje jak stare salami i tenisówki.

Ktoś schodził po schodach. W gromadzie niewinnych owieczek zapanowało poruszenie. Gunnar spojrzał na mnie zdezorientowany, nagle wręczył mi kopertę i ruszył do wyjścia razem z innymi. Stałem tyłem i wkładałem pismo do koperty, kiedy dyrektor złapał mnie za ramię i odwrócił do siebie.

– Co tam masz? – spytał.

Przez moment już widziałem, jak cały świat wali się w gruzy, wszystko leciało, wszystko się sypało z taką samą prędkością, to nie miało końca. Dyrektor nachylał się nade mną jak galion na dziobie statku, sam musiałem się odchylić, żeby móc mu spojrzeć w oczy. Wszystko spadało, spadaliśmy razem, to było jeszcze przyjemniejsze niż stanie na szczycie dziesięciometrowej wieży na kąpielisku Frogner, tuż przed wielkim skokiem, chociaż jeszcze nie skakałem z tak wysoka.

– To czasopismo, które dostałem od ojca. Mam je pokazać naszemu wychowawcy.

– Co to za pismo?

– Broszura turystyczna o Afryce. Mój stryj był w Afryce na Wielkanoc.

Dyrektor długo mi się przyglądał.

– A więc twój stryj był w Afryce?

– Tak – potwierdziłem.

Jeszcze bardziej się nade mną nachylił, jego oddech stał się nie do wytrzymania, śledź, tran i tytoń. W końcu jednak zrobił krok do tyłu i krzyknął:

– No to wyjdźże stąd wreszcie, chłopcze!

Pobiegłem po schodach na górę, na światło słońca. Rozległ się dzwonek, a ja poczułem się tak, jakby dzwonił we mnie, gdzieś między uszami. Pozostałe skunksy stały przy budynku, w którym mieściła się sala gimnastyczna. Wpatrywały się we mnie tak, jakbym właśnie wylądował i był mały, zielony i oślizgły.

– I jak... jak... – wydusił z siebie Smok.

– Lubi, żeby były gładkie, polane kefirem – rzuciłem i spokojnie ich minąłem.

Nagle poczułem, że jestem wycieńczony, kompletnie wypompowany. Nauczyciel WF-u pokrzykiwał na nas w drzwiach, więc szurając nogami, powlekliśmy się do przepoconych szatni z drewnianymi ławkami, żelaznymi wieszakami i podłogą zawsze śliską od pary z pryszniców. Było mi wszystko jedno, czy będziemy ćwiczyć na dworze czy nie. Nagle tuż obok mnie znalazł się Gunnar. Trochę zwolniliśmy. Dyskretnie przekazałem mu kopertę, zawinął ją w zdjęty wcześniej sweter.

– Jestem gnojkiem – mruknął.

Przystanęliśmy.

– Zostawiłem cię – ciągnął Gunnar. – Zdradziłem.

– To ja trzymałem w ręku to czasopismo.

– Oddałem ci kopertę i wyszedłem. Jestem dupkiem.

– Nie dałbyś rady się wyłgać.

Gunnar podniósł głowę, na jego szeroką twarz powoli wypływał coraz większy uśmiech.

– To prawda. Nie dałbym rady.

Roześmialiśmy się. Gunnar się przygarbił, jedną ręką zaczął boksować w powietrzu, po czym nagle spowaźniał, bardziej niż kiedykolwiek. Powiedział cicho, ale dobitnie:

– Pamiętaj, Kim. Zawsze możesz na mnie liczyć!

A potem ujął moją rękę, bardzo uroczyście. Silnymi palcami ścisnął mi palce jak pęczek pietruszki, a ja zacząłem się zastanawiać, czy nie widziałem już podobnej sceny w *Ilustrowanych Klasykach*, może w *Lordzie Jimie* albo w *Ostatnim Mohikaninie*, aż w końcu uświadomiłem sobie, że to było w jednym z odcinków *Świętego*, i już zacząłem się cieszyć na wieczór, bo był piątek i w telewizji puszczały kryminały.

– I aż sześć ze-ze-zero! – zawołał Ringo, kiedy skręciliśmy koło Stadionu Bislett po drodze do trafik Kårego na Thereses gate. Siedział na moim bagażniku, bo jego rower nie miał szprych, po tym jak na Bondebakken zawiodły hamulce i spanikowany Ringo wsunął buty w przednie koło. Wyglądał potem tak, jakby się potknął o krajalnicę do jajek.

– Sze-sze-sześć zero, rany! – powtórzył. – Sześć ze-ze-zero!

– Gdyby to jeszcze była Anglia albo Szwecja, ale Tajlandia... – Prychnąłem.

– Wszystko jedno! Sześć go-go-goli!

Thereses gate zaczęła piąć się jeszcze bardziej stromo i zabrakło mi oddechu do dalszej rozmowy. John i George jechali przed nami słalodem, cały czas pokrzykując, a na samym dole pojawił się tramwaj, trzeba więc było mocno naciskać na pedały, żebyśmy dotarli do trafik Kårego, zanim nas dogoni.

– Gdzie właściwie le-le-leży Tajlandia? – spytał Ringo.

– Na lewo od Japonii – wysapałem.

Udało nam się wyprzedzić tramwaj i już się cieszyłem na drogę w dół, bo była kolej George'a na wożenie Ringa z tyłu.

– Szlag mnie trafi, jeśli w tym roku dadzą mnie na skrzydło – powiedział John.

– Będzie dobrze, jeśli w ogóle wezmą nas do drużyny – oświadczył George.

– Jak będę musiał grać z ty-ty-tyłu, to mi się nie będzie chcia-chcia-chciało – powiedział Ringo. – Denerwuję się, kiedy tylko tak sto-sto-stoję.

Całym plutonem weszliśmy do Kårego, do tego ciemnego sklepu, do trafik Kårego, w środku unosił się dziwny zapach, owoców i dymu, potu, czekolady i lukrecji. Wiedzieliśmy, że pod ladą leżą zakazane czasopisma, „Cocktail” i „Kriminaljournalen”, ale od czasu tamtego

pornosa brata Gunnara to już nie było nic wielkiego, coś jakby prze-
padło, w pewnym sensie został żal.

Miła twarz boksera z zajęczą wargą wyłoniła się z ciemności, chyba
Kåre nas pamiętał z zeszłego roku.

– Składka członkowska? – spytał.

Pokiwalismy głowami, każdy położył swoją dychę na kontuarze,
Kåre wyjął cztery karty, podaliśmy mu nazwiska.

– Urodzeni w pięćdziesiątym pierwszym – mruknął. – To znaczy,
że w tym roku w młodzikach.

– Dużo osób się zgłosiło? – spytał John.

– Mamy dobre drużyny na wszystkich poziomach. – Kåre się
uśmiechnął.

– A jak pójdzie tym z Fri-Fri-Frigg w lidze, co? – spytał Ringo.

– Wygramy – oświadczył zdecydowanie Kåre.

– No i pokonaliśmy Tajlandię, sze-sze-sześć zero, no nie? – dodał
Ringo z zachwytem. Ciągle to przeżywał.

– Treningi zaczynają się we wtorek – zapowiedział Kåre. – O piątej
na boisku Frigg.

– Będzie w tym roku wyjazd do Danii? – dopytywał się George.

– Pewnie tak. Trenujcie ostro, to pojedziecie.

Dostaliśmy karty członkowskie, kupiliśmy jedną Colę na spółkę, ale
o fajki nie mieliśmy odwagi poprosić, bo może Kåremu nie spodoba-
łoby się, że chłopaki z Frigg palą, no a żaden z nas nie chciał, by go
ominął wyjazd do Danii.

Po wyjściu na ulicę Ringo spojrzał na Johna i spytał cicho:

– Co zrobiłeś z tym pi-pi-pismem?

– Wywaliłem – odparł John.

– Wy-wy-wywaliłeś?!

– No.

Właściwie wszyscy odetchnęliśmy z ulgą, ale Ringo się nie poddawał.

– A co na to twój bra-bra-brachol?

– Uważa, że to w porządku.

Wskoczyliśmy na rowery i pognaliśmy w dół Thereses gate. Ciepłe
powietrze dzwoniło w uszach, śpiewaliśmy *I Feel Fine* tak głośno, że aż
echo się niosło między domami. George zawołał, że jego prędkościomierz
dochodzi do osiemdziesiątki, wprowadzie nie zawsze można mu

było ufać, ale i tak pędziliśmy, nie musieliśmy wcale pedałować aż do Bogstadveien.

– Do Siedemnastego Maja* zostało mniej niż miesiąc – zauważył John.

– Do egzaminu też już niedaleko – dodał George.

– I do lata! – zawołał Ringo.

Przez chwilę milczeliśmy, bo trochę dziwnie nam się myślało o lecie, o tym, że kiedy minie, możemy trafić do różnych klas, a może nawet do różnych szkół. Ale przysięgliśmy sobie wierność. Nic nie mogliśmy rozdzielić, a Beatlesi nigdy się nie rozpadną.

Najpierw biegaliśmy wokół boiska, potem trochę poćwiczyliśmy główki, a później podzielono nas na dwie drużyny, po ośmiu w każdej. Korzystaliśmy z wielkich bramek seniorów i Szkoły Policyjnej, bramkarze między tymi słupkami czuli się jak karzelki i nawet gdy starali się podskoczyć jak najwyżej, i tak nigdy nie zdołali dotknąć poprzeczki. Przypominali śledzie w ogromnej sieci. John i ja trafiliśmy do tej samej drużyny. On był środkowym pomocnikiem, ja grałem na prawej obronie. Przeciwno sobie miałem Ringa na lewym skrzydle, George był środkowym obrońcą i najwyraźniej nienajlepiej się czuł, kiedy John ruszył przed siebie jak czołg, miażdżąc wszelki opór. Ja stałem na swoim miejscu i zgarniałem piłki na środek. George'owi kilka razy udało się zatrzymać Johna, ale nie wiem, czy John po prostu nie oddał mu piłki, żeby wszystkich nas wzięli do drużyny. Pod koniec Ringo przechwycił piłkę i popędził wzdłuż linii bocznej. Kiedy znalazł się dostatecznie blisko mnie, szepnął tak, żebym tylko ja mógł to usłyszeć:

– Prze-przepuść mnie! Prze-prze-przepuść!

Stałem na swojej pozycji na szeroko rozstawionych nogach i się nie ruszyłem; mogłem przepuścić Ringa, bo już wykonałem kilka solidnych podań i liczyłem, że miejsce w składzie mam zapewnione. Stałem więc nieruchomo, Ringo mógł mnie okrążyć jak kolumnę i posłać piłkę do pięknej główki ulizanego napastnika przed bramką. No ale oczywiście chciał się popisać, zaczął wyczyniać jakieś idiotyczne sztuczki, jakby był w Brazylii. Ci z jego drużyny zaczęli do niego wrzeszczeć, więc zrobił w końcu ostateczny zwód, zgarbił się i wpadł prosto na

* 17 Maja – święto narodowe Norwegii.

mnie. Obaj poleciliśmy na gęby, piłka się odtoczyła za linię, więc to ja rzucałem z autu.

– Ch-cho-cholera – wysyczał Ringo. – Jasna cho-cho-cholera!

– Przecież się nie ruszyłem!

– A skąd mo-mo-mogłem wie-wie-wiedzieć? Przecież o-o-obrona nigdy nie stoi nie-nie-nieruchomo!

Nasza drużyna, Johna i moja, wygrała chyba siedemnaście do jedenastu, a później było podsumowanie i krytyka. Kilku chłopaków już miało całkowitą pewność. Aksel na bramce, Kjetil i Willy w ataku. I John, pług śnieżny, też właściwie został już wybrany. George wyglądał na bardzo zmęczonego, a Ringo był wściekły.

– W najbliższy weekend jest mecz! – zawołał trener Åge. – W sobotę. Przeciwko Slemmestad. W Slemmestad.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy byliśmy świadomi powagi sytuacji.

– Ten mecz musimy wygrać! – ciągnął trener.

Wrzasnęliśmy.

– Świetnie, chłopcy! Wszyscy, którzy są tu dzisiaj, stawiają się w tym samym miejscu w sobotę o trzeciej. Do Slemmestad pojedziemy autobusem. I większość będzie miała okazję spróbować swoich sił na boisku. Ale nawet jeśli któryś nie zagra w pierwszym meczu, to i tak dostanie szansę później, prawda?

Drużyna się rozproszyła. Jedni odeszli pojedynczo, inni w grupkach. My czterej staliśmy na środku wielkiego boiska, oceniając się nawzajem.

– Myślicie, że wszyscy zagramy? – spytał John.

– Ten dureń mnie nie prze-prze-przepuścił, chociaż go pro-pro-prosiłem. – Ringo wskazał na mnie.

– No ale przecież ja ani drgnąłem!

– Właśnie dla-dla-dlatego! Przecież to ja-ja-jasne, że pomyślałem, że prze-prze-przesuniesz się na lewo. Dlatego ruszyłem pro-pro-prosto. Brudna za-za-zagrywka!

Nagle John umilkł. Znieruchomiał jak wyżeł, zapatrzony w coś od strony budynku radia i telewizji, i szepnął nieswoim głosem:

– Czy to... czy to nie Per Pettersen tam idzie?

Spojrzeliliśmy. Tak było. To naprawdę był Per Pettersen. We własnej osobie. Szedł w naszą stronę niedbałym krokiem, w białych krótkich spodenkach i biało-niebieskiej bluzie, z torbą zarzuconą na ramię.

– Muszę mieć jego autograf! – zawołał John. – Macie coś do pisania?

Oczywiście na trening nie wzięliśmy ze sobą ołówka ani tym bardziej kartki. Per Pettersen się zbliżał, więc John zaczął rozpaczliwie szukać czegoś w trawie, bo nie mógł przepuścić takiej okazji, ale jedyną rzeczą, jaką znalazł, był papierek po gumie do żucia Zip. Zanim rozprostował go na udzie, Per Pettersen już był przy nas.

– Autograf – wydusił z siebie John, wręczając mu papierek.

Per Pettersen zatrzymał się i spojrzał na nas pogodnie. Potem ze śmiechem odłożył torbę.

– Nie mam nic do pisania – przyznał John.

Per wygrzebał z torby długopis i podpisał się na papierku, od którego bił słodki zapach. Per Pettersen, dwa piękne P. Już miał odejść, gdy na przód wysunął się Ringo, który wcześniej cały czas przestępował z nogi na nogę.

– Nie mógłbyś raz do mnie strzelić?

Per zatrzymał się i odgarnął do tyłu niesforną grzywkę.

– Mogę. Ustaw się.

Ringo spojrzał na nas, cały czerwony, i pognął do bramki. Ustawił się możliwie najbardziej na środku i zgiął wpół jak homar. Per Pettersen położył piłkę na ziemi, zrobił kilka kroków do tyłu i parę razy kopnął w trawę.

– Biedny Ola – powiedział cicho George. – Kompletnie mu odbiło. Przecież jak złapie piłkę, to przeleci razem z nią przez siatkę.

Per Pettersen podbiegł, kopnął i nagle Ringo znalazł się na ziemi z piłką w objęciach. Nie ruszał się z miejsca. Minę miał tak zdziwioną, jakby w ogóle nie rozumiał, co się stało. W końcu się podniósł i chwiejąc się na nogach, podszedł do nas. Per Pettersen zarzucił torbę na ramię, odgarnął grzywkę do tyłu i zawołał do Oli:

– Świetna obrona!

I poszedł sobie.

Ola wyglądał na bardzo zmęczonego. Ledwie mógł utrzymać piłkę w rękach. Ale był szczęśliwy.

– Mocne było? – spytał ostrożnie George.

– Naj-naj-najmocniejszy strzał, jaki w życiu poczułem – odparł Ringo. – Gordon B-B-Banks miałby problemy z ró-ró-równowagą.

– Fantastyczna parada – stwierdził John. – Idealnie.

– Skąd wiedziałeś, jak on strzeli? – dopytywał się George.

– Wy-wy-wykiwałem go – odpowiedział Ola. – U-u-udałem, że się rzucam w prawo. A potem się okręciłem w le-le-lewo. No i miałem piłkę w rę-rę-rękach.

Ruszyliśmy w stronę rowerów, które leżały w wysokiej trawie przy Slemdalsveien.

– Myślicie, że Per Pe-Pe-Pettersen powie o tym Kå-Kåremu i Å-Å-Åge-mu? – spytał Ola.

– Możliwe – odparł John. – Jeśli się zobaczą.

– No to może wtedy wezmą mnie na bra-bra-bramkarza. Na sta-sta-stałe.

Ola ciągle miał dziwnie daleki wzrok. Zachowywał się tak, jakby nie do końca nas poznawał.

– Chodzi o to, żeby mieć ko-ko-kontakt wzrokowy – powiedział. – Widziałem białka jego oczu. Stracił pe-pe-pewność siebie i pi-pi-piłka była moja.

Podprowadziliśmy rowery do kiosku koło Szkoły Policyjnej i zafundowaliśmy Ringowi Colę. Uznał, że na nią zasłużył, i wypił duszkiem całą butelkę. Po odebraniu zastawu pooglądaliśmy wraki samochodów za drewnianym płotem, myśląc o ludziach, którzy wcześniej siedzieli w tych autach. To było straszne, jakby ciągle jeszcze w nich tkwili, zakrwawieni i zmasakrowani, upiory we wrakach. Przy bramie wilczur strażnika zaczął na nas warczeć, białe zęby zdawały się świecić w czerwonym pysku. Trochę zmarznięci, ruszyliśmy w stronę Majorstua, pokazując sobie reklamę Durexa na budynku Vinkelgarden nad zegarem, na którym dochodziła już siódma. Ringo znów siedział z tyłu na moim bagażniku i powoli odzyskiwał kontakt z ziemią po tamtej bramkarskiej paradzie, w końcu zawołał na całe gardło:

– Do du... Do du...

A Seb dokończył:

– Do dużej dojdzie sławy!

Potem Gunnar wrzasnął z całych sił:

– Do chu... Do chu...

A ja odkrzyknąłem:

– Do chóru go zapisać!

Nie było to jedyne zawołanie, jakie znaleźliśmy. Umieliśmy też o żołnierzu, co się ze...sunął z konia i spadł na du...ży głaz, ale zaraz wszystkie głosy ucichły, bo na Valkyrien stały Nina i Guri z klasy C, więc

z bijącymi sercami podjechaliśmy pod krawężnik na piszczących oponach.

– Gdzie byliście? – spytała Guri.

– W szkole tańca – odpowiedział Seb.

Dziewczyny się roześmiały, a Seb urósł na siodełku.

– Nie podrzucilibyście nas do Parku Urra? – poprosiła Nina.

Jechaliśmy akurat w tamtą stronę, więc nam to pasowało, ale tak samo pasowałoby, nawet gdybyśmy mieli jechać aż do Trondheim. Teraz przynajmniej jedno było pewne, a mianowicie, że Ola musi zreperować swój rower, i to szybko, no bo siedział z tyłu na moim, więc Nina i Guri wsiadły na rowery Gunnara i Seba, tym samym ja straciłem szansę. Pomknęliśmy w dół Jacob Aalls gate, dziewczyny piszczwały, a ja chyba mimo wszystko poczułem pewną ulgę, myśląc o tym, że Ola nie ma teraz swojego roweru i siedzi u mnie na bagażniku, bo inaczej Guri i Nina musiałyby wybierać między nami czterema i dwóch by przegrało, więc chociaż zwiślały nam smarkule z mysimi warkoczycami i cyczkami jak rodzyńki, to jednak nie byłoby fajnie jechać z pustym bagażnikiem, pogwizdywać, mrużyć oczy od zachodzącego słońca i udawać, że nic się nie stało.

Odstawiliśmy dziewczyny do Parku Uranienborg, nazywanego przez nas w skrócie Urra, i tam znów zawiśliśmy nad kierownicami, nie patrząc na siebie i jakby czekając, że coś spadnie z nieba, aż wreszcie Ola wyburczał:

– Obroniłem ka-ka-karnego, którego strzelił Per Pe-Pe-Pettersen!

– Kto? – spytała Nina.

– Ja! Ja o-o-obroniłem karnego Pera P-P-Pettersena!

– A kto to jest Per Pettersen?

Ola spojrzał na nas pełnym rozpacz, błagającym o pomoc wzrokiem, ale musiał radzić sobie sam. Równie dobrze mógł powiedzieć, że obronił czternaście kolejnych karnych strzelonych przez Pelego, i tak nie zrobiłoby to większego wrażenia.

– P-P-Per Pettersen! Przecież on gra w re-re-reprezentacji!

– No to fajnie – powiedziała Guri.

Dalszej rozmowy o fantastycznej obronie Oli nie było. Dziewczyny ruszyły w stronę ławki, a my pozwoliliśmy im odejść, w końcu jednak poszliśmy za nimi. Na drzewach były małe zielone pączki, lepkie w dotyku, a ciemność nadciągnęła jak wielki cień i wszystkich nas okryła.

Zimno było tak stać w krótkich spodniach, z zielonymi kolanami i łokciami. No i oczywiście nic się nie wydarzyło. Prawdę mówiąc, pamiętam lepiej wszystko to, co się nie wydarzyło. Bo to, co się nie stało, ale mogło się stać, było o wiele wspanialsze od tego, co się naprawdę stało w pewien kwietniowy wieczór w Parku Urra w 1965 roku.